

-1

PLAZACIEMNIA

SPIS

wiersze

MICHAŁ CZARNOTA / wybór z vantablack	3
MARCIN WRÓBLEWSKI / wyrok; Konserwacja świata; Over the counter, ciało; Wyrastanie	6
KASIA LISOWSKA / trzy wiersze bez tytułów	9

proza

ADI BUCZYŃSKI / Zabiła mnie pamięć...	11
ANDRZEJ CORYELL / Chińszczyzna	17

obrazy

WACŁAW MEJBAUM / Junior I koty, odc. 2 komiksu	22
ANDRZEJ DUDEK-DÜRER / Cudzoziemcy między nami. Fotografie prac na biennale w Wenecji	33

felieton

MAŁGORZATA SKAŁBANIA / Szpilki ludożercy	46
--	----

MICHAŁ CZARNOTA

WIERSTY Z „VANTABLACK”

zero w skali Sternberga

narysowałem tabelę w telefonie
punktuję w niej trzy czynniki
twój bilans jest ujemny chociaż nie chcę

.

.

wiem co powiesz

chcę czytać o jedzeniu schabowych na smalcu
tego właśnie chcę czytania i jedzenia schabowych na smalcu
jestem zmęczony sushi z kawiozem i tofu i seitanem
chcę jeść schabowe na smalcu i patrzeć
jak Siechnice płoną pomidorami

.

.

paliliśmy na balkonie

i w krematoriach ale niech będzie romantycznie
strzepnięty świetlik prut ciała
mieszało się co jest tu a co tam
pomyliło się że coś jest tu a coś tam
w zasadzie to nie ma żadnej granicy
powiedziałbym że ją uroili na potrzeby czegoś wielkiego
to nie ma żadnego znaczenia
tu nic się nie stało
chcemy mieć ChatGPT zamiast głów

.

.

lubię ketrel

w tym miejscu chcę powiedzieć
że bez leków właściwie nie śpię
szczam pod siebie nie myję zębów i tak dalej
a w tym miejscu chcę tylko powiedzieć
że jestem tysa małpa na psychotropach

.

.

jestem blondynem z Europy

to dopiero szczęście jeść hot dogi z Żabki
oglądać parującą elektrociepłownię
nudes z opisem LTR kilka zdań przez aplikację
tak zamawiam jedzenie
sunę opuszką po burgerze ciepłe mięso kontakt z krową
leżeć w Lidlu polewać się piwem marki Tesco
wypchać białego misia Pringlesami to dopiero szczęście

.

.

Michał Czarnota
urodzony 199x r. w Zielonej Górze.

MARCIN WRÓBLEWSKI

PIĘĆ WIERSZY

wyrok

duszne cielsko parowu
zroszone oksytocyną pokrzywy
plątanina korzeni w otrzewnej
znaczy drogę do tona światła świata
słychać tykanie zegara bez wskazówek
dalej odbierz co swoje

.

.

Konserwacja świata

Zrosty na wargach – po starej miłości,
blizny na języku – po starych klątwach.
Wszystko już było, nic nowego się nie urodzi.

Szukajcie, a znajdziecie po śladach
wygniecionej, jeszcze ciepłej, trawy
oznaczonej niedopałkami i jutrzejszym kacem.

Ale strzeżcie się – karuzelom wymieniają silniki.

.

.

Over the counter

Nie czuję zimna, stary Jelcz kotysze moim strachem,
który przesącza się przez zaparowaną szybę.
Brunatne grudy pól i szare sześciany domów,
umyślnie powielane w chronicznym,
niepojętym szaleństwie.
Mężczyzna na wózku na tle omszałego płotu,
ma obcięte nogi i twarz jak dno popielniczki.
Odpycham próby zrozumienia poza czas,
poza to nieruchome miejsce.
Docieram do celu.

.

.

ciało

z biblią na ustach wydajesz się lepszy
ale nie muszę cię znać żeby wiedzieć
że wszystkie receptory kobiecego piękna
chowasz w gaciach

.

.

Wyrastanie

Nie zasypiaj, masz wystarczającą ilość sprawnych
komórek nerwowych. Nie pogarszaj swojej sytuacji,
trzej królowie ze snów, to oszuści i złodzieje.
Nie zauważyłeś, że ich dary są sztuczne? To rekwizyty.
Nikt nie uciekał z tobą w ciemną noc przez wsie
i miasta. Nikt nie wydał na ciebie wyroku.
Nie jesteś aż tak wyjątkowy. Po prostu, za dużo
myślisz o sobie.
Nie zasypiaj, chodź ze mną tam, gdzie tłoczą oliwę.

.

.

Marcin Wróblewski

ur. 1980. Pochodzi ze Zwolenia, obecnie mieszka pod Nałęczowem. Mąż i
ojciec dwojga dzieci. Ukończył filologię polską, przez czternaście lat praco-
wał jako nauczyciel. Publikował w czasopismach i portalach: „Topos”, „Odra”
, „Epea” i in. Laureat XLVI Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego „Limesu”
2023, wyróżniony w Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim im. Georga Trakla
2023 oraz IX Międzynarodowym Konkursie Poetyckim im. Józefa Bursewicza
„O Złotą Metaforę”. Wydał dwa zbiory wierszy: Zimne Ognie (Mamiko, Nowa
Ruda 2023) i Brama (Białe Pióro, Warszawa 2023).

KASIA LISOWSKA

TRZY WIERSZE BEZ TYTUŁÓW

jest porządek wymaga skupienia
nie otwieram dłoni
w kłębkach boli bardziej
trawię trwonię zmieniam skórę

.

.

pięść fałuje
ciało zmienia smak
wypuść mnie myślę
w środku skruszonej dłoni

.

.

połknięte litery głód
kiedy wstydzę się twojego nie wiem
ukrywam okruchy
ze stołu
z którego nie będę

nie
zostanę błogo

.

.

Kasia Lisowska

wrocławianka z urodzenia i wyboru. Zajmuje się literaturą – częściej w teorii niż w praktyce. Przygląda się uważnie słowom i uczy innych, jak to robić. Wydała książkę Metaforyczność w dyskursie genderowym polskiego literaturoznawstwa po 1989 roku. Lubi angażować się w działalność społeczną.

ADI BUCZYŃSKI

ZABIŁA MNIE PAMIĘĆ...

Tego dnia zabiła mnie pamięć.

Lato było, sierpień w dupę zazierał, wtłaczając war życzliwy w rozmaite szpary, szpareczki, pęknięcia, słońce przeginało się w oknach prężąc kosmate promienie. Dzień zastawał człowieka w rozkroku między snem jeszcze parującym a popołudniową drzemką, ten sam dzień wyświecał z łóżka dyktując krok sprężysty, pragnienie ruchu i żądzę wiatru łechcącego podpieczoną skórę. Innymi słowy: gnało ciało na zewnątrz do gwaru, a jeszcze innymi: z domu wypetziłem, bo ile można siedzieć, gderać do siebie, dławić się kurzem i przeglądać cały ten uzbirany w mozole szpej, który i tak będzie trzeba skompresować, załadować i spakować próżniowo do sfatygowanego fiata pandy obchodząc uroczyscie kolejną przeprowadzkę – to się nazywa dopiero bulimiczna egzystencja!

Schodzę zapłutymi schodami, żelbetonowym stairway to heaven idylli dzieciństwa, mijam setkę czystej wypitą na prędcie przed tyrką i dygam cały rozpoetyzowany na autobus |57| MARYSIN STADION. Głowa wystaje mi nieco ponad stan posiadania. Jedziemy Woja Polskiego

i tuż przed Ciągotami i Tęsknotami skręcamy w Sporną, wysiadam przy Brackiej, idę w stronę smętarza. W zasadzie nikt z moich studentów znajomych się tu nie zapuszcza, a już na pewno nie widać tu tych konkretnych, celowo celowych, bo oni raczej nie wyściubiają nosa poza manę i stajnię. Chcę mi się łąć, włożę na śmietnik i szczam z blaszanego daszku (trudno sobie wyobrazić, ile frajdy może sprawić dryzдание na świat z wysokości Śmieciosyjonu). Obracam się na pięcie, wysięgam wzrokiem lekko ponad ten mur nęcący tajemnie, mur nęcący przedziwnie, mur nęcący, ale z siłą taką, że hej, na co czekasz, dawaj do nas, co u ciebie, miło cię poznać wreszcie, tyle tam stałeś, że już prawie pożegnałem się z myślą, że zajrzysz, że zerkniesz, że wejdziesz. Tak się i nawet składa, że lubię wściubiać nos w różne takie ten nieznane mi dotąd sprawy. No dobra, myślę, pokaż kotku, co masz w środku, jak strzelił lecę szukać wlotki na żydowski smętarz. Z namaszczeniem obchodzę oplotenie dziurawymi resztkami ulicopodobnego tworu, badam każde zadraśnięcie asfaltu conversikiem rozklekotanym, co go raz pewnego wyszamotał charcik Bartek aż w końcu spostrzegam mały prostokąt niby puszczone samopas oczko w ceglanej rajtuzie. Wciąża jak cholera, zaprasza, mizdrzy się, wygina, podszeptuje słodko i wabi. No głupio byłoby się tak opierać. Co ja dewotka? Odyseusz jakiś? Żeby się siłą męznego ducha zapierać przed urokami świata. Wchodzę, myślę, bardziej niż samo życie zaszkodzić mi już nie może.

Wchodzę z perwersem, furtka jęczy, żwirek trzeszczy, podeszwa chlupota sobie frenetycznie, lepią się języki do goleni tykając tapczywie fizjologiczną rosę. Zanoszę się wzrokiem i festiwal czterech kultur, proszę ja ciebie: logos, davhar. mortem, vita. Witam się z trawą, potykam się o krzyk pokrzyw, zieloność w natarciu, po grobach mech hula aż miło, bluszcz się zagnieżdża w pęknięciach, wszędzie graby, dęby, paprocie, las prawdziwy, najprawdziwszy, las pierwotny, sam to nazwij. Nie wiadomo od czego zacząć, chciałoby się od wszystko, wszędzie, wszędobylsko, ale jak tu niby się do tego zabrać, skoro na raz taka pojedynczość, nieistotność człowieka wzbiera. Na chybił szukam miejsca spoczynku, przecież tu ziemia tak miętka, że weź tylko się położyć, zaśnij w imię ojca i spuść roletę na światłość wiekui. Rozmarzam się i idę. Doglądam nagrobków, robię obchód, zachwytem niepomiernym się dławię, bo wreszcie natura Dominą się stała, a kultura może i słusznie zastygła w podnieceniu (podobno

jak się kofnie to bardzo wyzwala, wiesz, taka ostateczna ekspresja tożsamości, a później upragniony solarny odbył i... tyle cię widzieli jeno jak wieko trumny zamykali myśląc sobie w duchu: „co się un tak szczyrzy jak umar przecie!”).

Ale idę, wszystko fajnie, myślę, tylko po chrust te kamienie na płytach przyjemnie zwichrowanych mijaniem – czasem trzy, cztery, będzie i tuzin nawet. Kamienie, kamyki, kamulce, kamyczki, kamole, kamolce, sam to nazwij. Mniejsza o większe myślę i idę po to miejsce upragnione na mchu wylizanym rosą obok krypty, grobu, kryptogrobu, grobów, nagrobków, w cieniu lasu pradawnego, ale zanim... No to muszę, nie nawet, że chcę tylko z musu to wszystko przedsięwziąć i muszę to miejsce uświęcić, może w pierwszej kolejności sprofanować, by potem uświęcić, po nowoczesnemu, no i muszę sobie strzelić wiekopomną fotę, uwiecznić się na amen, bo w przeciwnym razie nie wytrzymam i całkowicie się już generacyjnie zdegeneruję, a ja się z tym miejscem naprawdę kocham, ukochuje, czujesz, toteż szukam najrozmaitszych sposobów, by tę miłość wyartykułować wszem i wobec. Po partacku więc ustawiam kadr: będzie muru kawałek, płyty nagrobnej ćwierć, pajęczyna, facjata, zieleń, kosmate słoneczko. Cyk. Wszystko się zgadza, jedna próba wystarcza, bowiem jeszcze mnie tak nie pocięło, żebym się cały dzień przed obiektywem gimnastykował.

Szybka obczajka, co tam w kadrze, co tam słychać, jak samopoczucie: będzie muru kawałek, płyty nagrobnej ćwierć, pajęczyna, facjata, zieleń, kosmate słoneczko i... kamienie-kamyczki-kamyki-kamulce-kamole-kamolce. Sprawdzam raz jeszcze, a tam, jak wóół, kamienie-kamyczki-kamyki-kamulce-kamole-kamolce i robi się trochę dziwnie, trochę niepokojąco, z deka alarmistycznie nawet. Niemniej próbuję przespacerować sobie nad tym do porządku dziennego, póki widno jeszcze. W deskrypcji fotograficznej ścibolę zaś z namaszczeniem godnym poety, którym się sobie wydaję, a którym nigdy się nie stanę: „Ile te mury przeżyły lat,/ tak wspaniale się je podziwia,/ a one z góry nie patrzą/ tylko na powrót obdarowują szacunkiem”. I oto teraz, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki... o mało się nie zesrałem! Spoglądam raz jeszcze na ekran, na zdjęcie, na piksele, na siebie w tym wszystkim i żywszą widzę reprezentację niż siebie samego wtenczas czuję. Z ducha mi jakby ubyło, że nie miałem czasu, proszę

ja ciebie, dobrze się zastanowić nad filozoficzną kategorią duszy, o kategorii prawdy przenajświętszej nawet nie wspominając! Zezuję w ekran na swoją (czy aby na pewno?) postać i czuję, że więcej co-raz mnie ubywa, a tego zdigitalizowanego Judasza tylko przybywa: w oczach ma iskry jak z jakiej tureckiej zapalniczki, usta wręcz wymalowane po leśmianowsku, ramiona zaokrąglone niby łuki triumfalne górujące nad moim dotychczasem, zupełnie jakby mi ten autoportret całe życie wydart, wyszarpał z klatki piersiowej, że aż dychwić zacząłem, myśle, odsapnąć muszę, bo już majacze od tego termomiksa.

Siadam na mchu upragnionym, coby Żakiewicza poczytać, chłone żółć stronic, delektuję się chłodem i czuję mrowienie. Z początku lekkie w stronę silniejszego aż do zamarcia, łechtania, zamarcia, łechtania, zamarcia, łechtania... Pewnie się co nieco podnieciłem, myślę i zanadto się tym pobudzeniem nie przejmuję, bo i po co, dobrze jest! Czytam w oćmie lasu strony uślinione antykwariatem, uwalane kurzem... ale chwila, chwila, chwila, bo to ewidentnie coś po mnie łązi, spaceruje i drałuje.

Spoglądam znad Zbysia i... co jest doktorku, oblaży, obsiadły, oblepity mnie łapczywie tramwajarze, batalion bezskrzydłych kowali w pancerzykach z krwi zastygłej, w zbrojach koszmarnych, w princie malowanym zza światów przez samego Basquiata (ta maska szamańska na plecach, piktograficzna grafomania w pełni kunsztu, hipnotyczna dysharmonia, symbiotyczny zgrzyt). Gnieżdżą się dranie, gdzie miejsce, na tydkach, udach, kolanach, rozklekotanych kapciach, a przestrzeni brak już niemal – tyle ich nastało. Odskakuję oparzony dotykem żywej śmierci, strzepuję robale, wzdrygam się, wstrząsam, one dalej wyłazą, wyłazą, wzdrygam się, wstrząsam, strzepuję, patrzę jak zdziwione pokurcze wywijają na trawie, urządzają orgię moim kosztem, a ja przygrywam ich płasom niemym krzykiem obrzydzenia, zdławionym lękiem. Jednym słowem: poczytane, miło było, ale się skończyło. Idę dalej, właściwie to pobiegiewam już nerwowo, nieco podupadły, szukam spokoju i nie mogę znaleźć, diabeł ogonem nakrył. Grabię groby spojrzeniem, zwiedzam niedbale, się szlajam, ale już nie taki jestem prędko, nie taki. Powietrze gęstnieje od skwaru, robi się parno, duszno, brakuje tlenu, jestem jak sześć stóp pod ziemią, już robi się ciasno... ciemno... nie ciasno, ciemno. Patrzę w niebo, ciężki ten ruch ku górze, karkołomny. Ponad koroną chmury

ciężarne, molowe od deszczu, nabzdyczone, gromnie pochrzążują. Trzeba wracać, zanosi się na burzę, lanie i wielkie manto. Nie mogę znaleźć wyjścia, a tu wracać trzeba, zaplątałem się w kłacza szmaragdowe od chlorofilu, już ledwie dostrzegam jakiegokolwiek różnice, niemal tożsamy się staję z tym, co zastałem. Resztkami sił wrywam się z tej ziemi obiecującej wszystko poza wytęsknionym Exodusem. Biegnę. Biegnę, nie mijam już grobów tylko kamienie, kamyki, kamulce, kamyczki, kamole i kamolce. Jest ich więcej i więcej, i więcej. Wciąż biegnę, uciekam, przebiegam przez pasy, ludzi przepycham aż wreszcie pakuję się do [6] CHOJNY KURCZAKI.

Oddech, głęboki, głębszy niż zapach tramwaju, niż harówka zjeżdżająca w mokrych plamach, oddech rozrywający nozdrza, krtań, przełyk, przeponę. Buty uwierają stopę, skóra staje się czerwona, pot wstępuje na skronie, czoło, szyję, stona wydzielina zalewa stopniowo resztę ciała, czas nieustępliwie zatrzymuje się, staje na każdym świetle, każdym przejściu dla pieszych, wpuszcza uprzejmie i nic sobie ze mnie nie robi, bo wie, że go nie dosięgnę, nie prześcignę, nie przegonię. Dojeżdżam pod dom, już ledwie chodzę, i prawa noga, i lewa noga, buty uwierają stopę, jeszcze tylko wpisać kod, tylko po schodach, tylko wejść do mieszkania, tylko po schodach się doczłapać i za klamkę szarpnąć – już tuż, już tuż... Ściągam obuwie, i prawa noga, i lewa noga, i poranione mam stopy, i próbuję tego conversa wytrzepać, wysypać, wytrząsnąć, i wypada kamyczek, później kamyk, następnie kamień, kamulec, kamol i kamolec, i wznosi się wielki stos kamieni, który jest aż do dnia pamiętnego i rozpamiętywanego, i wciąż rośnie w siłę, i przybiera, i to nie koniec jest, kamienie spowite są cieniem, aurą, cząstkami czci Aarona, Abdon, Abdullaha, Abiasza, Abrahama, Aggeusza, Azariasza, Barucha, Habakuka, Eliasza, Ezechiela i Ezdrasza, Izaaka, Jaremy, Jedediasza, Jozuego, Selima, Samuela, Zabulona, i to jest nie koniec, bo jeszcze Tamary, Tality, Salomei, Ruty, Rebeki, Racheli, Judyty, Fenenny, Debory, Atalii, i to jeszcze nie koniec jest, bo przecie bet Chajata, Balagula, Rokeacha, bet Tabacha i bet Szocheta, Bodeka, Menakera, Szuba, Schulza, Aszkenaziego, Jassema, Tuwima, Adonojlama, Assorodobraja, Hajfeca, Ismach, Tikti-nera, Krakewera, Warszawera... Kamieni przybywa i narasta, a każdy kamień kamieniem rzuca, a każdy kamień inny chłód daje, już nie taki błogi, nie błogi, a miejsca ubywa, maleje, obkurcza się i ja się w tym wszystkim próbuję przedrzeć, się przemknąć, precisnąć, lecz

całkiem już nie potrafię, wymówić 'sz' nie umiem, przepraszam nie potrafię, przebaczyć, daruj, przepuść, nikt tutaj nie słucha, nie słyszy, nikt ziemi nie obiecuje, i nikt przymierza nie przyrzeka. Dobijam do łóżka, łajba rozkołtysana żalem, dobijam do łóżka, tratwa dziurawa, dobijam do łóżka, obgryziony do cna korab i kładę się: łóżko kamień, kamień jest prześcieradło, kamień kołdra, poduszka kamień, kamień światło i ciemność kamień, pod powiekami lawina, kolejne kamieniowanie.

Tego dnia zabiła mnie pamięć.

.

.

Adi Buczyński

lubi żelki zozole i słońce, ma tatuaż gibka i to chyba aż nadto informacji kropka

ANDRZEJ CORYELL

CHIŃSZCZYNA

ŚLIMAK PI I ŚLIMAK HI

Ślimak Pi i ślimak Hi postanowili przejść cały Mur Dziesięciu Tysięcy Li. Hi zacytował Laozi Daodejing: marsz na tysiąc li zaczyna się od pierwszego kroku. Ale kiedy przepętlili połowę połowy li, zrozumieli swoje szaleństwo. Dlatego zmienili zamiary, zeszli czym prędzej na pobliską łąkę, gdzie znikając nam z oczu, kochali się ze sobą do szaleństwa.

.

.

TAO NIERZĄDNICY MI

Czy tao nierządnicy Mi jest rozpasaniem, w którym tkwi po uszy? Czy tao ją do tego skłoniło, czy też skłonność zaprowadziła do życia, jakie wiedzie? A może zapłata dokonuje za nią wybór? Albo stręczyciel, którego nie kocha, który jej nie kocha? Gdzie kończy się granica luksusu, a zaczyna nędzy? Czy rozkosz karmi się także wstrętem? Czy wyrafinowanie nie powinno rumienić się deprawcją? Jak iluzja obejdzie się bez maski?

Tao ladacznicy Mi zadaje wiele pytań, ale tao ladacznicy Mi nie udziela odpowiedzi.

.

.

JEDNA SETNA LI

Z łatwością przejdziesz tysiąc li, jeżeli masz zdrowe nogi i czas. Ale spróbuj przejść jedną setną li w głąb siebie.

.

.

OPRAWCY KRÓLESTWA PÓŁNOCNEGO I POŁUDNIOWEGO

Oprawcy Królestwa Północnego oskarżają oprawców Królestwa Południowego o gnuśność, a oprawcy Królestwa Południowego stwierdzili u oprawców Królestwa Północnego niedbałość.

I w rzeczy samej dwie strony miały rację, co z pewną irytacją musieli potwierdzić rzeczoznawcy. Oskarżenia potwierdziła rzeczywistość w postaci nieprzekupnych urzędników wysokiego stopnia i trzeba było sięgnąć innych narzędzi niż wielkoduszność. Ci nie zadrżeli przed wyborem wyrafinowanych tortur. Sprawiedliwość domagała się ofiar i dlatego siepacze Królestwa Północnego zajęli się siepaczami Królestwa Południowego, a potem odwrotnie. Wtedy okazało się, że nikt nie przeżył i trzeba było głowić się przez wiele miesięcy, skąd znaleźć nowych, pełnych najlepszych chęci i koniecznego entuzjazmu.

.

.

XINRUI PYTA

Czyż moje stopy nie wstają najwcześniej, pociągając za sobą ciało? Czyż nie kładą się ostatnie? Czy nie spotykamy się dzięki nim, nie uciekamy przed ogniem lub wezbraną rzeką? Jak nie obryzgać wodą kochanka dla żartu podczas wspólnej kąpieli, gdy siedzimy naprzeciw? Jak nie pieścić, nie drażnić muśnięciem doprowadzając do miłosnego szału? Kto nie pochylił się nad delikatnym ściąganiem niebiańskich linii papilarnych, by je wycatować? Czy nie nazwać takiego głupcem?

.

.

HERBACIANA ŚMIERĆ

Herbata nie cierpi letniości ani nie cierpi być niedbale parzona. Śmierć nie cierpi wystygłej herbaty ani byle jak zaparzonej. Człowiek ścierpi tylko taką śmierć, która nie cierpi wystygłej herbaty źle parzonej i niedbale podanej. Przyjmij i podziękuj za taką herbatę i za taką śmierć, która w swoim ceremoniale jest taka, jaką być powinna.

.

.

WYŚMIENITY STERNIK

Dżonkę o czarnych żaglach pomalowano na żółto. Śmierć jest wyśmienitym sternikiem.

.

.

PRAWDA

Władca prosił o prawdę i otrzymał ją. Niemądry mędrzec Li wypowiedział ją i otrzymał brutalną lekcję. Prawda jest piękna, o ile nie naznaczy kańczugiem pleców ni pośladków.

.

.

TRUDNY WYBÓR

Nie wiem, co ze sobą zrobić – zadumała się kaczka Wang. Po pekińsku, seczu-ańsku, tajsku, francusku, pomorsku? Z jabłkami, buraczkami, w pomarańczach? Z ziemniakami gratin, dauphine, puree z dyni, a może sięgnąć po surówkę z czerwonej kapusty?

Jaki trudny wybór, jaka rozterka, skoro umiera się tylko raz?

.

.

ŁUCZNIK WU

Łucznik Wu nie ma sobie równych i w nieprzeliczonych wrogach utkwiała długa strzała o purpurowej lotce. Jeżeli jest tak doskonały, jak twierdzi, biada napastnikom, jeżeli jest tak doskonały jak w doborze menu i w wykwinnym spożywaniu. Zajrzyjmy przez okno, czego właśnie dokonał. Po upieczonym strzępiełu zostały dokładnie objedzone, wylizane, starannie ułożone ości olśniewające bielą.

.

.

XINRUI

Kim jest Xinrui, jeżeli nie jest Xinrui? Kim nie jest Xinrui, jeśli nie jest Xinrui? Czy Xinrui nazywa się Xinrui, pochodzi z Szanghaju, mieszka, gdzie mieszka, ale przeniesie się wkrótce do Hongkongu? Słucha chińskich piosenek dla relaksu, tak mówi. Układa sobie życie wedle krążków złota, niezrównanych monet, na których opiera się świat. Moneta na monecie, siła na sile, słupek na słupku, krągłość na krągłości, aż do samych niebios. Złota śmierć krąży wokół Xinrui i musi uważać, by nie naruszyć tej kruchej równowagi. Tylko mi nie mów, Xinrui, kim jesteś, a kim nie jesteś. Czy w pytaniu nie tkwi spodziewana odpowiedź, dawno otrzymana przepowiednia, ość w gardle? Jak wypełnić cząstkę czyjejś nieobecności? Jak przemienić kruszec w życie? O życie ci chodzi, Xinrui, czy coś ważniejszego?

.

.

BRODAWKA

Wpierw pojawiła się brodawka, znamię znamion, wokół której rozrosła się twarz. Najstyńniejsza brodawka świata przynależy do Mao Zedonga. Wbrew

estetyce chińskiej symetrii nie promienieje pośrodku czcigodnego podbródka, ale nieco przesunięta jest na prawo, jeżeli spojrzysz Przewodniczącemu prosto w oczy.

Odwiedź Mauzoleum w Beijing, by oddać mu hołd. Kolejka wiernych powiedzie cię do komnaty, gdzie siedzi wykuta w marmurze jego realistyczność. Od głowy i brodawki po skarpetki i buty. Jak jego białe oczy, brodawka spogląda na świat – milcząca, nieruchoma, w pełni obecna. W swojej prostocie staje się odzwierciedleniem meandrów czasu i wyobrażeń. Marmur przydał jej powagi umarłego, który za życia tak bardzo łaknął wieczności.

Znamię znamion, brodawka była jedyną wyrocznią, której słuchał. Podszeptowała mu sławę, o ile zdobędzie się na bezwzględność. Miliony muszą umrzeć, by żyły miliony. Ludobójstwo jest niczym, twierdziła. Zmarli otoczą cię cieniem szacunku, dadzą ci cień w Królestwie Cieni. Wyślij ich przed sobą, a przyjmą cię z czcią. Ich radosne szczęście nie będzie miało końca.

.

.

Andrzej Coryell

ur. w Warszawie, malarz, rzeźbiarz, aforysta. W 1978 r. opublikował zbiór wierszy *Les chameaux du myope*, wydawnictwo Caractères, Paryż. Jego powieść *Spółka z lwem* wydano w 1986 roku w wydawnictwie Czytelnik, a w 1991 roku – w języku francuskim – w wydawnictwie Actes Sud; *Gronostaj ubrany w króla* – zbiór aforyzmów i małej prozy opublikowało w 2007 wydawnictwo Jeden Świat; *Niewierność nad wiernościami* – Oficyna Wydawnicza Atut (Wrocław 2015), przekład na język włoski: Edizioni Joker 2018; *Cień wieży Babel* – Austria, Kraków 2019. Autor aforyzmów i przypowieści, które ukazały się w wielu czasopiśmie literackich. W roku 2002 zrealizował film krótkometrażowy *Album rodzinny*, a w 2004 następny – *Wodną kaligrafię*. Aktualnie mieszka w Gdańsku.

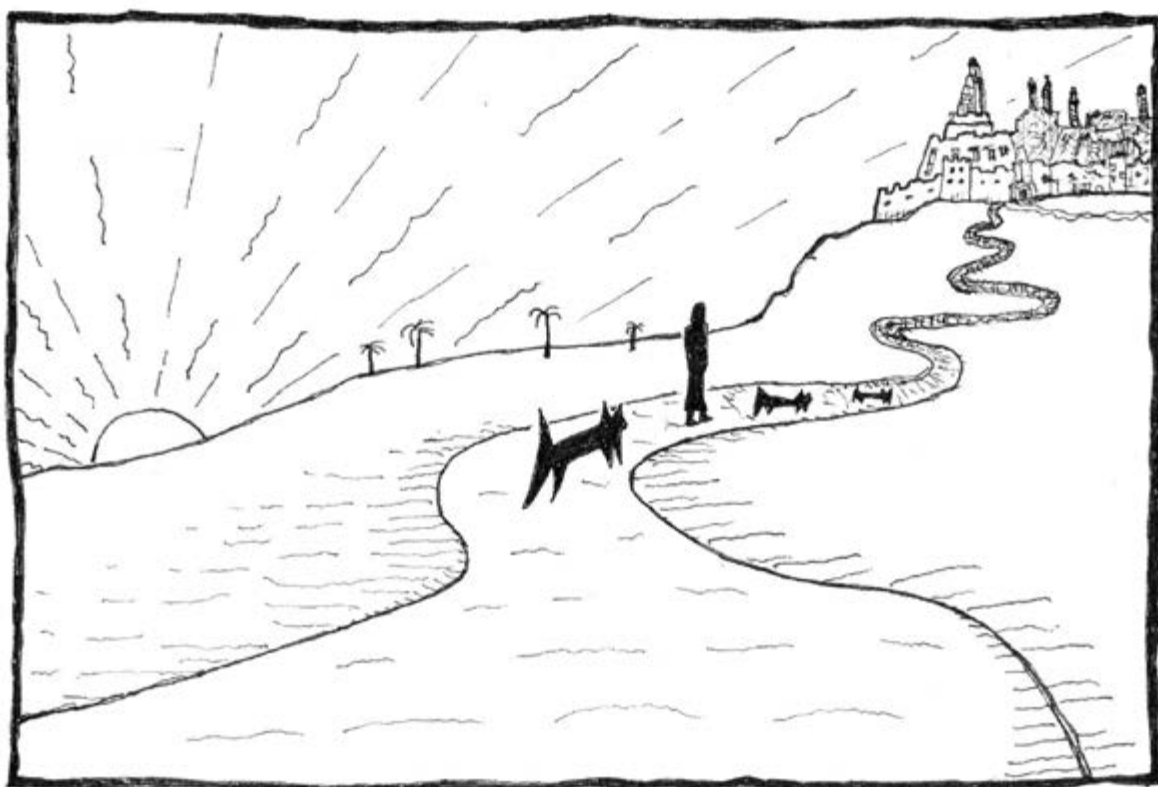
WACŁAW MEJBAUM

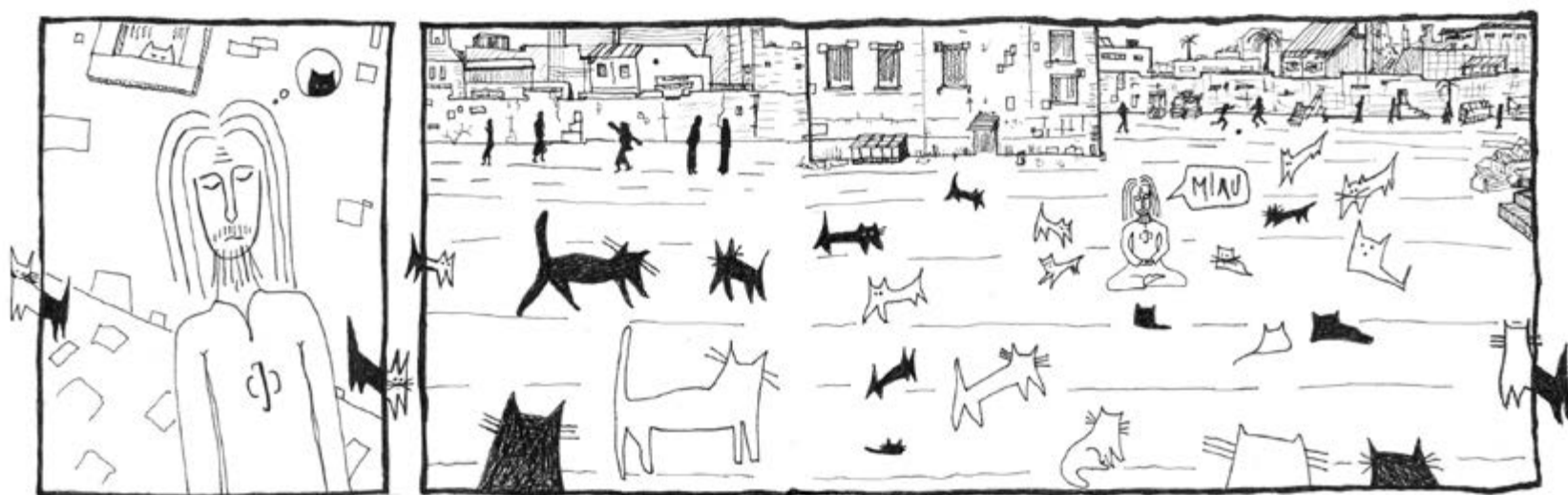
JUNIOR I KOTY II



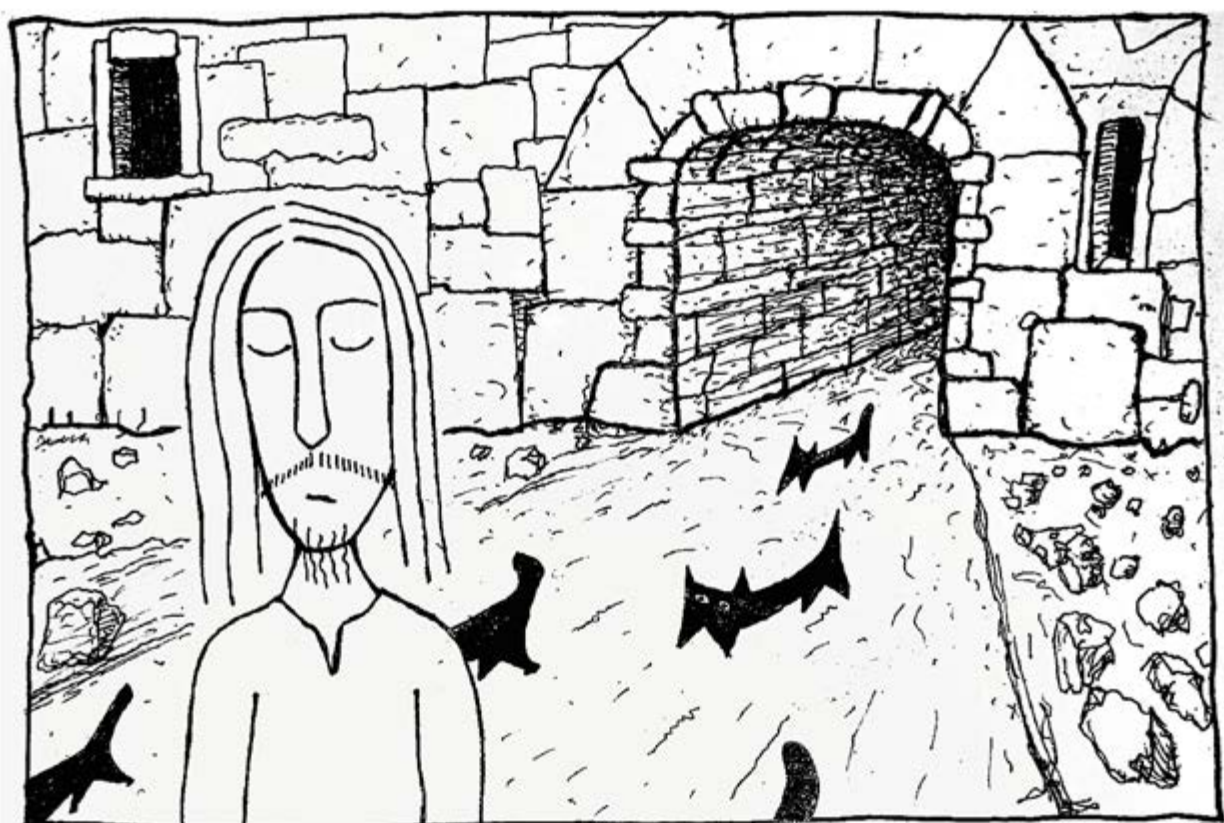
W POPRZEDNIM ODCINKU

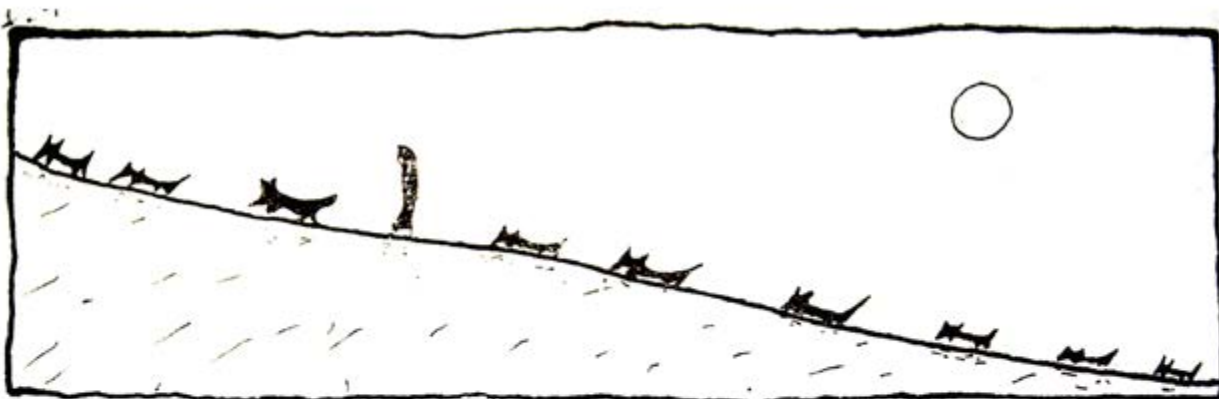
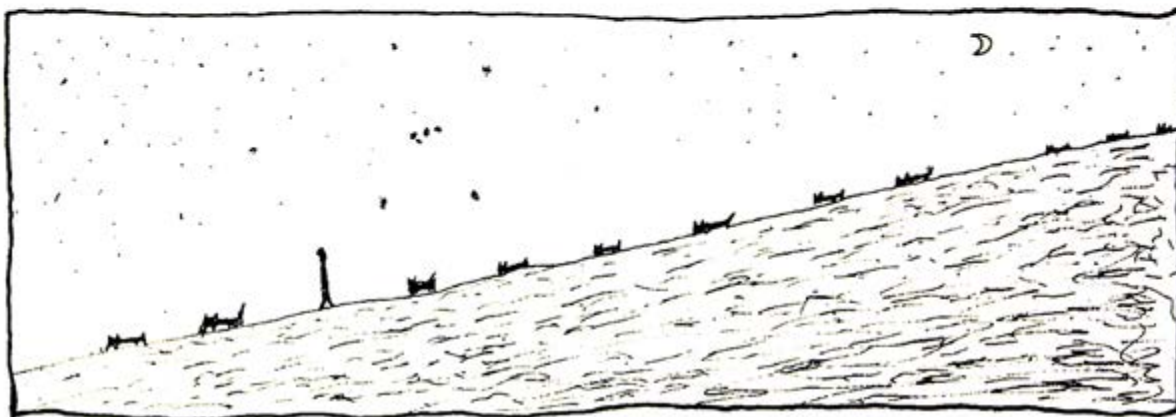


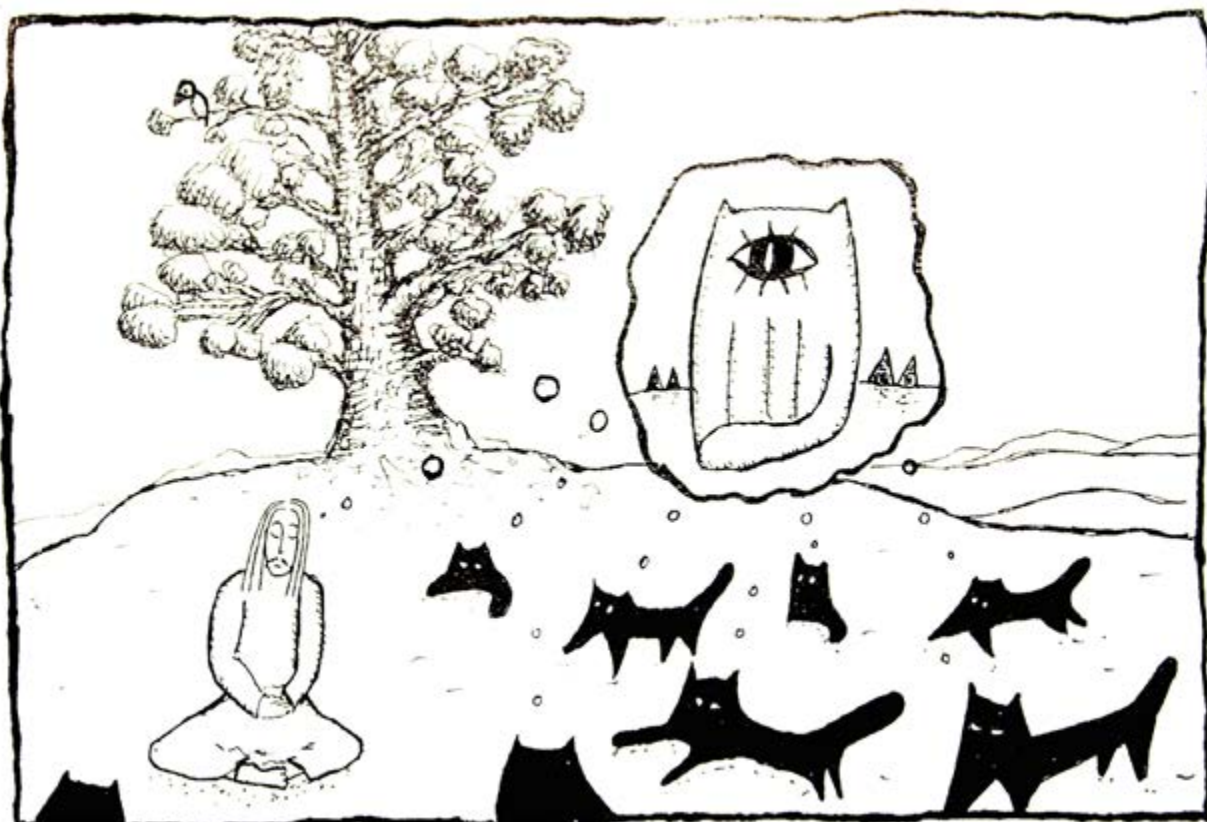


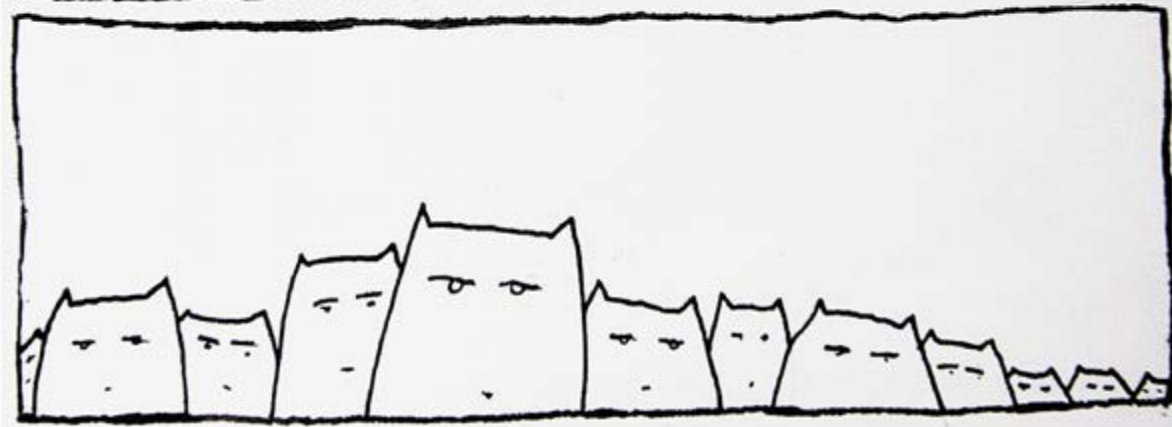
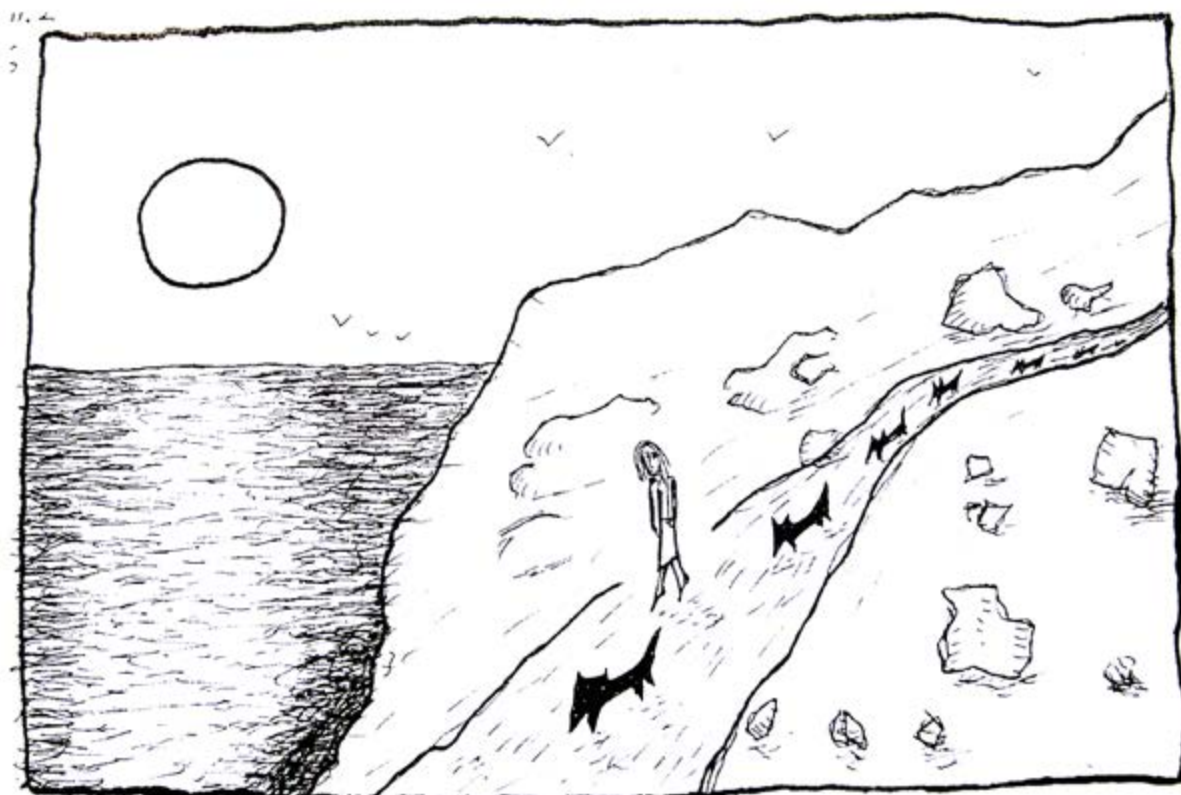


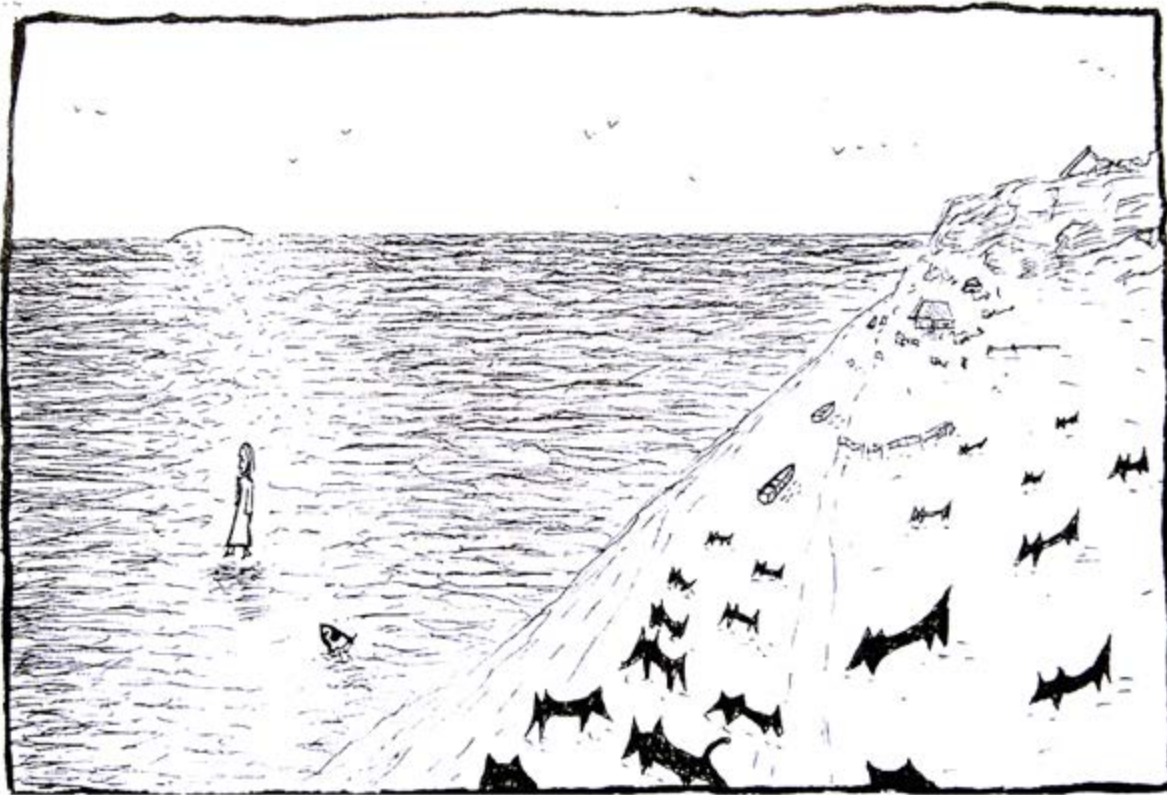
EPIZOD II

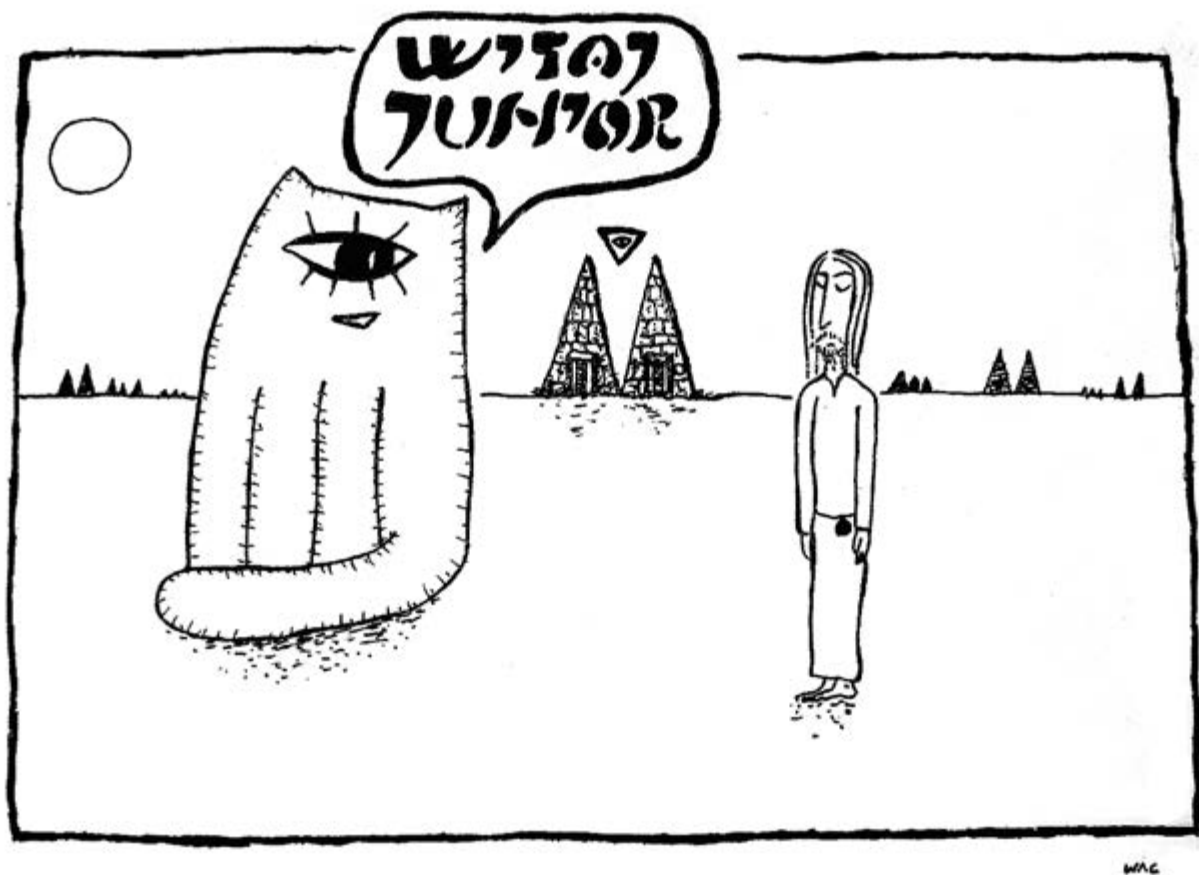


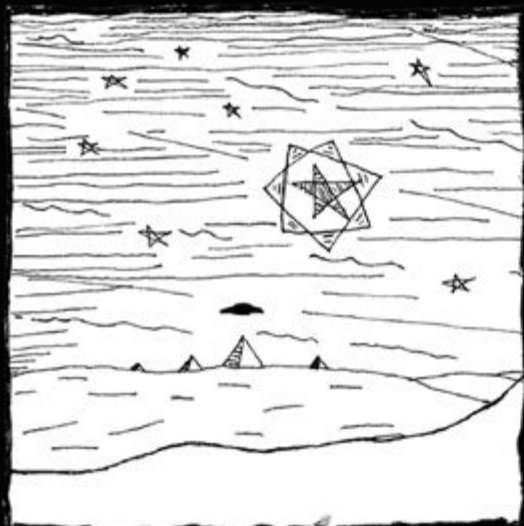












רַטְוִירָטָא
וּ
אַמְרוּטָא

Junior is coming

WACŁAW MEJBAUM

zawodowo zajmuje się projektowaniem graficznym i fotografią. Autor komiksów, współautor „Wromixu”. Wraz z Piotrem Brenczem w 2024 opublikował komiks „Facet bez palca już poszedł”. Mieszka we Wrocławiu.

CUDZOZIEMCY SĄ MIĘDZY NAMI. FOTOGRAFIE ANDRZEJA DUDKA-DÜRERA Z BIENNALE W WENECJI

Prawie równo rok temu rozpoczęła się 60. Międzynarodowa Wystawa Sztuki w Wenecji (60. Biennale di Venezia). Trwała od 20 kwietnia do 24 listopada 2024 roku. Ideą przewodnią tego wydarzenia, jednego z największych i najważniejszych pokazów sztuki współczesnej na świecie, było hasło „Cudzoziemcy są wszędzie” (Stranieri Ovunque), a jego kuratorem był Adriano Pedrosa. Wystawy główne pokazywano w Giardini i Arsenale; wiele wystaw towarzyszących odbyło się na terenie całego miasta.

Wrocławski artysta Andrzej Dudek-Dürer sfotografował i wybrał specjalnie dla plaży kilkanaście niezwykle interesujących prac prezentowanych wtedy w Wenecji.



Roberto Indiana, Love, 1966–2006, 55,3 x 58,5 x 33,4 cm, marmur; Procuratie Vecchie, wystawa towarzysząca. Foto © A. Dudek-Dürer



Jeffrey Gibson, The space in which to place me, instalacja; Giardini, Pawilon USA. Foto © A. Dudek-Dürer



Lauren Halsey, Keepers of the Crown, beton zbrojony włóknem szklanym , materiały mieszane, instalacja rzeźbiarska; Arsenał. Foto © A. Dudek-Dürer



Yuriy Biley, Pavlo Kovach, Anton Varga – Kolektyw Open Group, Powtarzajcie za mną II, instalacja multimedialna; Giardini, Pawilon polski. Foto © A. Dudek-Dürer



Andrzej Wróblewski, Likwidacja getta (druga strona), 1949, olej na płótnie, 120cmx89 cm;
Procuratie Vecchie, wystawa towarzysząca. Foto © A. Dudek-Dürer



Ruth Patir, Manifest; Giardini, Pawilon izraelski. Foto © A. Dudek-Dürer



Yael Bartana, Ersan Mondtag, Thresholds, instalacja na fasadzie budynku; Giardini, Pawilon niemiecki. Foto © A. Dudek-Dürer



Anna Maria Maiolino, Ao finito, 1994/2024, z serii Terra Modelada, instalacja z 10 ton formowanej gliny i roślinności; Arsenat. Foto © A. Dudek-Dürer



Yinka Shonibare, Refugee Astronaut VIII, manekin z włókna szklanego, bawełniana tkanina drukowana metodą holenderskiego wosku, siatka, rzeczy osobiste, hełm astronauty, buty księżycowe i stalowa płyta bazowa 194,4 × 94 × 114 cm.

Na drugim planie: Claire Fontaine, Straniero Ovunque, neon dwustronny montowany na ścianie, rama, transformatory, kable; Arsenał. Foto © A. Dudek-Dürer



Bordadoras de Isla Negra, grupa hafciarek z Chile, bez tytułu, 1967–1980, płótno haftowane, 230 cm x 774 cm; Arsenał. Foto © A. Dudek-Dürer



Madge Gill, Crucifixion of the Soul (fragment), 1936, 147 cm x 1062 cm, rysunek, tusz na tkaninie perkalowej; Giardini, Pawilon Centralny. Foto © A. Dudek-Dürer



Nil Yalter, Topak Ev., 1973, instalacja – struktura metalowa, filc, skóra owcza, teksty i media mieszane, 250 × 300 cm; na pierwszym planie: Andrzej Dudek-Dürer, Żywa Rzeźba, 1969-2024, performans; Giardini, Pawilon Centralny. Foto © A. Dudek-Dürer

Plaża dziękuje Autorowi fotografii za ich udostępnienie. Tytuł zbioru pochodzi od redakcji. Na fotografii tytułowej: MAHKU (Movimento dos Artistas Huni Kuin), Kapewe Pukeni [Bridge alligator], instalacja, mural na elewacji Pawilonu Centralnego o powierzchni 750 m²; Giardini. Foto © A. Dudek-Dürer

Andrzej Dudek-Dürer

wrocławski artysta multimedialny, performer, fotograf, grafik, kompozytor i muzyk, często pracujący z instrumentami i mediami elektronicznymi, jest aktywny na wielu polach wypowiedzi – tworzy instalacje, rzeźby, zajmuje się environment, budową instrumentów, działalnością metafizyczno-telepatyczną. Jego prace znajdują się w muzeach i prywatnych zbiorach na kilku kontynentach. Stypendysta i laureat nagród MKiDN.

link: culture.pl/pl/tworca/andrzej-dudek-durer

MAŁGORZATA SKAŁBANIA

SZPILKI LUDOŻERCY

Pomyliłam dni. Okazało się, że moja długa przejażdżka przez miasto, które wydało na mnie najokrutniejszy wyrok wygnania, była bezcelowa. W jedną stronę czytałam znalezioną na book-crossingu książkę Toeplitza Śniadanie ludożercy. Wracając, dziennik Las Casesa, prezent od córki z Paryża.

K.T. Toeplitz przypadkowo wpadł mi w ręce przed wyjściem z domu. Zwróciły moją uwagę czarne, jednoelementowe litery „k” i „t”. Uwielbiałam jego „Szpilki”. Podobnie jak babcia, która w razie ucieczki z domu miała przygotowaną walizkę z bielizną, egzemplarzem „Szpilek” i torebką z lusterkim w środku. Toeplitz, nazywany przez kolegów „ludożercą”, ciekawie pisał o grzywnie za pracowitość dla poczytnych autorów. Magazyn „Kultura” wyznaczał im limity. Rozważania o wielkiej sztuce Nerona i płonącym Rzymie rozśmieszyły mnie na tyle, że dramat publicznego niszczenia ton książek przez ludzi wysokiej kultury i odkrycie przy tym siatki powiązań w tak zwanym środowisku wywołały u mnie (po wielu latach uczucia goryczy) głośny śmiech. Znajomi, „przyjaciele” nie mogli stanąć po stronie ofiar. Wszyscy działali zgodnie z prawem, które nie chroni książek. Wtedy zaś pochlebianie „paleniu bibliotek” po zmarłych mieszkańcach miasta chroniło ich etaty.

Po co palić Rzym? „Jeśli Neron miał poczucie rzeczywistości, na pewno głupio mu było odpowiedzieć, „ponieważ chcę sobie pośpiewać”.

Myślę raczej, że okrutnie zwymyślał pytającego, wołając, że takich pytań nie wolno zadawać w obliczu poczynąń artystycznie naprawdę wielkich” (K.T. Toeplitz, *Śniadanie ludożercy*, „Książka i Wiedza”, Warszawa 1968).



fot. Antoni M. Kołodziejek

Sztukę Hindetę szybko zdjęto ze sceny mimo odważnej scenografii, wspaniałych recenzji w miejscowych magazynach kulturalnych, nie przyniosła teatrowi zwrotu zainwestowanych w nią pieniędzy. Zadziwiające, że instrument propagandy poprzedniego reżimu, „Książka i Wiedza”, przemycił tak zabawne treści, nawet krytykę cenzorów reżimu. Przyjrzałam się postaciom na pożółkłej okładce. Jerzy Kępkiewicz zdecydował się na użycie do ich druku jasnego ugru. Farba, mimo braku dostępu do niej światła, wyblakła. Może jej barwa jak u impresjonistów była czymś akcydentalnym (teoria Wölfflina)? Kompozycja po latach przypominała mapę nieba o poranku, kiedy gwiazdy zaczynają znikać nam z oczu. Gwiazdami „ludożercy” przy metafizycznym już śniadaniu były kaleki, a jedyną zdrową istotą maltańczyk. Przypominał moją Perliczkę z Aix-en-Provence. Canetti pytał, czy książki trzeba karmić. Skoro rodzą się, starzeją, zmieniają miejsca, właścicieli, umierają w samotności lub wykonuje się na nich publiczne egzekucje, nie powinno zadawać się takiego pytania.

Małgorzata Skałbania

malarka, poetka. Urodziła się w 1965 roku w Tychach. Studiowała malarstwo w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Pięknych w Gdańsku oraz na Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie (dyplom u prof. Jerzego Nowosielskiego). Odbyla staż w De Christelijke Academie voor Beeldende Kunsten w Kampen. Zatrudniona jako plastyczka w lubelskim Teatrze Dramatycznym im. Osterwy, sprzeciwiała się niszczeniu książek, traktowanych jako materiał do scenografii w jednym ze spektakli. Swoje teksty publikuje w kraju i za granicą.

skład i opracowanie graficzne	dominik pędziwol
okładka i layout	andrzej k. urbański
konwent	marcin czerwinski wacław mejbaum
	dominik pędziwol andrzej k. urbański
redaktor naczelny	marcin czerwinski
kontakt	marcin.czervo@gmail.com
wydawca	Fundacja Plaża i Ciemnia, Wrocław
ISSN	ISSN 3071-950X

